

Tematy tygodnia

- 12 Wojciech Szacki
**Rekonstrukcja rządu:
kto poleci, kto się utrzyma**
- 15 Martyna Bunda
Bunt kobiet

Polityka

- 18 Mariusz Janicki
Wiesław Władyka
Co zrobić z sukcesami PiS?
- 21 Ewa Siedlecka
Nieufna Europa Środkowa
- 23 Jakub Bierzyński
OGLĄD I POGLĄD
Tajniki sondaży
- 26 Ostatnia rozmowa
z **Andrzejem Wajdą**
i jego żoną **Krystyną
Zachwatowicz**

Społeczeństwo

- 28 Ryszarda Socha
**Jak się protestuje
w małych miasteczkach**
- 31 Rozmowa z psycholożką
Justyną Rutkowską
o niezgodzie na śmierć
i emocjach, które jej towarzyszą
- 34 Violetta Krasnowska
**Fałszywe sprzedaże,
naciągane pożyczki**

Rynek

- 36 Adam Grzeszak
Czarna lista KNF
- 39 Cezary Kowanda
Zbiórki w sieci

Świat

- 42 Łukasz Wójcik USA
**Dworzanie i hamulcowi
Trumpa**
- 45 Jędrzej Winiecki KOREA PŁN.
Cena za pokój
- 48 Tomasz Walat SZWECJA
**Pół wieku temu
obywatele przeszli na „ty”**
- 50 Joanna Gierak-Onoszko
KANADA **Bieda w raj**

Historia

- 52 Edwin Bendyk
**Październik 1917 r.:
czy mogło być inaczej?**
- 55 Rozmowa z australijską
historyczką **Sheilą
Fitzpatrick**, autorką książki
„Rewolucja rosyjska”
- 56 Jan Olaszek
40 lat lubelskich „Spotkań”

12



Rząd: grupa rekonstrukcyjna

23



Jak czytać sondaże

42



Nowe szaty Trumpa

58



Daniel C. Dennett:
spowiedź Belzebuba

Nauka

- 58 Rozmowa z **Danielem C. Dennettem**, filozofem kognitywistą, o religii, intuicji i technologiach w czasach postprawdy
- 62 Karol Jałochowski
**Czy sztuczna inteligencja
nas zabije?**
- 64 Rozmowa
z dr. hab. **Maksymilianem
Opolskim**, laureatem Nagrody
Naukowej POLITYKI, o sercu
w trójwymiarze i rozszerzonej
rzeczywistości

Ludzie i style

- 68 Michał R. Wiśniewski
**Jak neonaziści ukradli
żabę Pepe**
- 72 Marcin Piątek
**McEnroe kontra Borg:
filmowy pojedynek
na korcie**

Kultura

- 78 Piotr Sarzyński
25 LAT PASZPORTÓW POLITYKI
**Jak dojrzewała nasza
nagroda kulturalna**
- 82 Jakub Knera
**Śmierć – ulubiony motyw
gdańskich muzyków**
- 86 Aneta Kyzioł
**„K.” i reszta: Demirski
i Strzępka o naszych
politykach**
- 88 Urszula Schwarzenberg-Czerna
**„Mother!” Aronofsky’ego
i inne horrory ekologiczne**
- 92 KAWIARNIA LITERACKA
Pablopavo
- 93 Jerzy Pilch
**Z „Trzeciego Dziennika”:
sen o Pietrasiku**

Na własne oczy

- 100 Tekst i fotografie
Marcin Szczepański
BANGLADESZ **Przed wodą
nie ma ucieczki**

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski • 6 Ludzie i wydarzenia • 74 Afisz • 94 Passent
• 95 Hartman • 96 Stomma • 97 Tym
• 98 Do i od redakcji • 99 Fusy, plusy i minusy • 106 Polityka i obyczaj



www.mleczko.pl

GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Sądy otwierają się na zwykłych ludzi

Pis obiecało ułatwienie zwykłym ludziom dostępu do wymiaru sprawiedliwości i trzeba powiedzieć, że obietnicę tę realizuje. Szeroki dostęp do sądu i prokuratora mają dziś osoby z rozmaitych środowisk, które w dodatku nie muszą szukać z tym prokuratorem kontaktu, bo on sam je wcześniej czy później znajdzie. Uzyskanie dostępu do prokuratora nie wymaga nawet bycia przestępcą, gdyż pod rządami PiS sale sądowe szeroko otworzyły się także na osoby uczciwe, co jest moim zdaniem rozwiązaniem słusznym, ponieważ i takim osobom należy się prawo do porządnego procesu i wyroku skazującego. Aby stanąć przed sądem, nie musimy obecnie posiadać żadnych znajomości ani się przesadnie wysilać. Wystarczy, że spróbujemy zablokować miesięcznicę smoleńską, marsz ONR albo weźmiemy udział w demonstracji przeciwko władzy, na której będziemy skandować nazwisko Lecha Wałęsy. W całym kraju toczy się obecnie ponad 800 spraw przeciwko zwykłym ludziom uczestniczącym w protestach i trzeba przyznać, że ich procesy cieszą się sporą popularnością. Podczas rozpraw sale sądowe są pełne, nie brakuje osób wspierających, niezależnych obserwatorów i polityków opozycji. Dochodzi do sytuacji, gdy chętnych do wejścia jest tylu, że sąd musi ograniczać liczbę przepustek, co tylko potwierdza,



że otwarcie się wymiaru sprawiedliwości na zwykłych ludzi było decyzją słuszną.

Zwiększona dostępność do sądów wiąże się ze zwiększeniem dostępności do innych rzeczy, np. do zakładów karnych. Rząd obiecuje, że po głębokiej reformie sądownictwa o pobyt w tego typu zakładach będzie zwykłym ludziom łatwiej. Na razie jednak sytuacja jest wciąż daleka od ideału, bo wiele procesów nie kończy się pobyt w zakładzie, co jest zjawiskiem niepokojącym z uwagi na to, że agresja niektórych zwykłych ludzi wobec władzy narasta.

Zmediów dowiadujemy się, że obiektem szczególnie zjadliwych ataków stał się „mir domowy” Sejmu oraz marszałka Kuchcińskiego. Z tym że odnośnie do Sejmu sędzia wydał, niestety, wyrok uniewinniający, bo jego zdaniem trudno mówić o naruszeniu miru Sejmu, skoro jego teren nie był ogrodzony. Kuchciński zresztą także nie był ogrodzony, dlatego w jego sprawie sędzia wydał identyczny wyrok, z tym że prokuratura się odwołała i będzie kolejny proces.

W prasie przeczytałem, że Sejm na wniosek PiS ma wkrótce przegłosować wyposażenie Straży Marszałkowskiej w szable, ale mam wątpliwości, czy to wystarczy, żeby skutecznie ochronić mir domowy Kuchcińskiego. Moim zdaniem mimo wszystko lepszym rozwiązaniem byłoby ogrodzenie go.

LAUREAT OSCARA 2017

W KATEGORII NAJLEPSZY FILM NIEANGLOJĘZYCZNY

KLIENT • REŻ. ASGHAR FARHADI



Farhadi w swoich trzech najgłośniejszych filmach - „Co wiesz o Elly?”, „Rozstaniu” i najnowszym „Kliencie” - tworzy obraz „podzielonego społeczeństwa”. Bohaterami są ludzie z jego sfery - artyści i inteligenci żyjący w zachodnim stylu.

Tadeusz Sobolewski „Gazeta Wyborcza”



PREMIERA DVD 15 LISTOPADA
Z TYGODNIKIEM **POLITYKA**

O jednym takim, co ukradł historię



Jerzy Baczyński

Analiza sondaży wyborczych na dwa lata przed wyborami jest zajęciem raczej jałowym i, jak twierdzą socjologowie, nie może być podstawą poważnych prognoz politycznych. Tygodniowe czy miesięczne wahania notowań są przydatne, najwyżej, jako mało precyzyjny instrument oceny bieżących zdarzeń politycznych. Gdy jednak patrzeć w sondaże głębiej i dłużej (jak czyni Jakub Bierzyński na s. 23), zaczynają coś zeznawać. Widać np., że PiS, mimo propagandowych triumfów, wciąż jest partią mniejszościową, mogącą liczyć trwale na około jedną trzecią wyborców. I to się prawie od wyborów nie zmienia. Widać też, że siłą PiS jest przede wszystkim duża przewaga, nie tyle w całym elektoracie, ile nad słabą, rozproszoną, partyjną konkurencją. Zwłaszcza nad PO, która w opozycji straciła jedną czwartą zadeklarowanych zwolenników, a w stosunku do swoich dobrych lat – połowę. Główne więc dziś prognostyczne pytanie brzmi: czy PO (samodzielnie lub z Nowoczesną) wyrówna notowania PiS? lub inaczej: ilu utraconych, urażonych, obrażonych wyborców zdoła odzyskać? Grzegorz Schetyna, który ma chyba najwięcej w Polsce doradców i podpowiadaczy, był intensywnie namawiany, żeby wreszcie, po dwóch latach w traumie i nieogarnięciu, uderzył pięścią w mównicę, pokazał, o jaką Polskę PO chce walczyć. I to się w końcu wydarzyło na niedawnej partyjnej konwencji w Łodzi. Ale, jak to się mówi, „sorry, Gregory” – coś już jest, ale więcej brakuje.

Platforma, jeśli rzeczywiście chce skutecznie mierzyć się z pisowską armią, musi prowadzić kontrofensywę na dwóch szczytach: w przód, o przyszłość (czyli co będzie po PiS?), i w tył, o przeszłość (co było przed PiS?). Dla odzyskania wiarygodności PO, a może i całej opozycji, oba fronty są jednakowo ważne. Oto bowiem mamy w Polsce sytuację przedziwną: PiS, bez jakiegokolwiek oporu, przejął całą opowieść o 8 latach rządów PO-PSL, a praktycznie o całym ćwierćwieczu transformacji (czytaj też s. 18). W demokracji przegrani w wyborach zwykle zażarcie bronią swojego dorobku, bo to jest przecież ich główny opozycyjny kapitał. U nas nic z tych rzeczy; nikt nie ma niczego dobrego do powiedzenia o III RP i jej ostatnich latach. Powinien był to robić Donald Tusk, bo taki jest obowiązek lidera, który w tamtym czasie sprawował niemal pełnię władzy. Ale Tusk wyjechał, a Ewa Kopacz, wrzucona nagle w brutalną kampanię wyborczą, zupełnie sobie nie poradziła.

Pisowska opowieść o Polsce w ruinie, o państwie skorumpowanych, tykających ośmiorniczki polityków, o kondominium rusko-niemieckim czy niewolniczej pracy obywateli wchodziła jak w masło. Ta przeciwna narracja – o kraju niebywałego sukcesu, wzorcu dla wszystkich państw regionu, o „złotym wieku Polski” (jak pisał „The Economist”), rosnącej sile zewnętrznej (potwierdzonej najpierw przewodnictwem Jerzego Buzka w Parlamencie Europejskim, potem prezydenturą Tuska czy

hołdem warszawskim Baracka Obamy) – nagle się rozwiła. Milionom Polaków, którzy budowali Nową Polskę i się w niej pracowicie urządzali, zostało publicznie odebrane prawo do dumy z dorobku osobistego i zbiorowego, z awansu, zawodowych karier, starań o dzieci, rodzinnej zapobiegliwości. Sukces miał być powodem do wstydu. „Fajna Polska”, z przedwyborczych przekazów PO, zmieniła się w haniebną, zdradziecką, złodziejską, a żadna siła polityczna, która tę III RP współtworzyła, nie ruszyła ku jej obronie. I tak zostało.

Od wyborów 2015 r. słychać już głównie propagandowe dudnienie PiS. PO, oszołomiona porażką, trawiona poczuciem winy, tylko umykała przed smagającym ją z lewa i prawa oskarżeniem „gdzie byliście przez te 8 lat!”. Nowy lider Grzegorz Schetyna, sam jako ofiara Tuska, nie miał żadnego emocjonalnego interesu, aby z przekonaniem bronić dorobku rządów PO-PSL. Czołowych gospodarzy „zielonej wyspy”, ministrów Rostkiewicza, Sienkiewicza, Sikorskiego, Tusk już wcześniej poświęcił w aferze taśmowej, więc i oni politycznie zamilkli. PSL tak się przeraził skuteczności retoryki PiS, że mentalnie natchmiast wyparł się uczestnictwa w rządach 8-letnia.

Ale także całe ćwierćwiecze straciło reprezentację i obrońców: SLD, współrządzące III RP przez wiele lat, nieoczekiwanie za sprawą Leszka Millera odeszło w polityczny niebyt; Solidarność, która firmowała rząd AWS i cztery reformy premiera Buzka (w tym OFE, gimnazja i kasy chorych), zapisała się do PiS, który te reformy postanowił obalić. Nikt ani osobiście, ani partyjnie nie poczuwał się do obrony dorobku poprzednich lat i dekad czy nawet tłumaczenia błędów i zaniechań, bo niemal każdy nierozwiązany problem lub „afery” miały swoją skomplikowaną, wcale niejednoznaczną historię. Ale kto miał to wyjaśniać?

Do pisowskiego ataku na III RP dołączyła się przegrana pozaparlamentarna lewica, budując konstrukt ustroju III RP (w sumie eklektycznego i chaotycznego) jako „neoliberalnego reżimu”. III RP nie znalazła obrońców przed gwałtem, a pokolenie transformacji, kilkanaście milionów „dorobkiewiczów” (to ci potwierdzający w sondażach osobiste zadowolenie z życia), dało sobie narzucić retorykę wstydu za tamtą Polskę. Są wielkim wyborczym potencjałem. Mogą mieć i pewnie mają dziś żal do Platformy, że nie broniła ani ich życiorysów, ani historii transformacji.

Dzisiejsza PO musi oczywiście szukać narracji na przyszłość, ale niewiele z tego będzie, jeśli nie odzyska przeszłości, jeśli nie opowie jej własnym językiem. PiS, który właściwie w budowie III RP nie uczestniczył (jeśli, to głównie w formie pasożytniczej), korzysta dziś z jej dorobku pełnymi garściami: ze sprawnej gospodarki prywatnej, zdrowego systemu bankowego, wykształconych kadr, dobrego stanu budżetu, nowej infrastruktury, miliardowego wsparcia Unii Europejskiej, ochrony NATO. Opowieść PiS, że wcześniej (poza patologią) „nie było niczego” i dopiero PiS nalewał pełną chochlą z pustego, musi być zdemaskowana. Teraz nadarza się wyjątkowa okazja, ażeby powalczyć o prawdę historii. Zaczyna się właśnie rok Stulecia Odzyskania Niepodległości. Jest to szansa, aby uczciwie opowiedzieć sobie i o II RP, i o PRL, i o Trzeciej, porównać historyczne okoliczności, społeczne konteksty, zrobić historyczny audyt. Jeśli uczciwie, pewnie musi wyjść, że ostatnie ćwierćwiecze było (przy wszystkich zapóźnieniach, błędach, niekonsekwencjach, społecznych bólach) czasem wielkiego społecznego awansu, modernizacji, zbiorowego sukcesu Polaków. Jasne, to był etap transformacji, z definicji przejściowy, ale powstała solidna konstrukcja, warta na pewno przebudowy, ale nie zburzenia. Trzeba już dziś stawiać tamę pisowskiej narracji – wspieranej wkrótce całym aparatem państwowym – że dopiero teraz, w stulecie niepodległości, „Polska jest Polską”, bo rządzą nią prawdziwi Polacy i osobiście nowe wcielenie Naczelnika Piłsudskiego. Cóż, jeśli oddamy przeszłość, oddamy i przyszłość.

Niech schudną

W niedzielę zegar na stronie rezydentów wskazywał, że głodówka trwa już 27 dni, 1 godzinę, 53 minuty i końca protestu nie widać, bo rząd najwyraźniej przyjął strategię – niech schudną.

Od dwóch tygodni minister zdrowia Konstanty Radziwiłł konsekwentnie nie podejmuje dialogu z protestującymi. – *Od 14 października nie toczą się żadne oficjalne rozmowy z ministerstwem* – mówi Tomasz Dybek, szef komitetu protestującego Porozumienia Zawodów Medycznych. Biorąc pod uwagę skalę determinacji młodych lekarzy, na szybkie zakończenie protestu raczej nie można liczyć.

Na 27 dni głodówki 6 przypada na Marysię Stafiej, która wskoczyła na miejsce kolegi, którego wykluczono z protestu ze względu na znaczne pogorszenie się stanu zdrowia. Przyszła głodować, bo jest nie tylko lekarzem, ale również pacjentem. – *Sprowadzanie naszej głodówki do podwyżek, o które również walczymy, jest sposobem odwracania uwagi od prawdziwych problemów* – tłumaczy. I dodaje, że pieniądze dla rezydentów wypłacane są spoza budżetu ministra zdrowia. Po sześciu latach studiów i 13-miesięcznym stażu w jednym z kieleckich szpitali zdążyła już poznać, jak działa system, i dziwi się, że w ogóle jakoś działa. – *Pielęgniarki są albo w wieku przedemerytalnym, albo bardzo młode. Te pierwsze zaraz pójdą na emeryturę, a te drugie szybko znikają ze szpitali, bo poza służbą zdrowia mają dwa razy lepsze zarobki* – tłumaczy. Z lekarzami sytuacja wcale nie jest lepsza. Zapisy do specjalistów prowadzone są na kilka miesięcy do przodu. Na konsultację u kardiologa dziecięcego czeka się 4 miesiące. Na diagnozę raka piersi 37 tygodni. Bez dodatkowych pieniędzy szansa na poprawę nie ma. Zdecydowała się głodować, choć daleka jest od wiary w sukces. – *Przyszła do nas jedna z pielęgniarek, która w 2007 r. była w Białym Miasteczku. Wtedy pielęgniarki walczyły o 5 proc. PKB na służbę zdrowia. Minęło 10 lat i nawet tych 5 proc. nie udało się nam osiągnąć* – mówi. Poza tym humory głodującym raczej dopisują. Na pytanie, czy można dostać



Protest gdańskich studentów wspierających głodujących rezydentów.

trochę wody, mówią, że wodę tak, ale kawior się skończył. To aluzja do tego, jak protest przedstawiany jest w publicznych mediach.

Do głodujących w Szpitalu Pediatrycznym Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego przychodzi sporo osób, które solidaryzują się z protestem i postulatami, a także podpisują się pod Obywatelskim Projektem Ustawy o finansowaniu opieki zdrowotnej ze środków publicznych. Młodzi lekarze zdeterminowani są, żeby kontynuować strajk. Nawet w bardziej skrajnej formie. – *Jednym z pomysłów jest zasada: jeden lekarz, jeden etat. Ale to byłaby katastrofa dla pacjentów, bo lekarzy, jak wszystkiego w służbie zdrowia, po prostu jest za mało* – mówi Dominik Nguyen, były stażysta ze Szpitala Bielańskiego, który, pomimo że sam waży 50 kg przy wzroście 183 cm, również zdecydował się podjąć głodówkę. Zebrane wśród pacjentów podpisy, wraz z projektem ustawy, w poniedziałek miały trafić na biuro podawcze Kancelarii Sejmu. (JULL)

KOMENTARZ

Sygnaliści w służbie narodu



Piotr Pytlakowski

Mariusz Kamiński, minister koordynator ds. służb specjalnych, na specjalnej konferencji opowiedział o projekcie ustawy o jawności życia publicznego, gdzie w skrócie zawarł nową strategię walki z korupcją. W gruncie rzeczy ogłosił stan wojenny dla łapówkarzy. Nowa ustawa ma połączyć trzy dotychczas obowiązujące: o ograniczeniu działalności gospodarczej osób pełniących funkcje publiczne; ustawę o lobbingu i o dostępie do informacji publicznej. Przewiduje pełną jawność ujednoczonych oświadczeń majątkowych urzędników oraz jawność umów cywilnoprawnych firm i spółek, w których Skarb Państwa posiada więcej niż 10 proc. udziałów. Wprowadzony zostanie obowiązek stosowania

specjalnych procedur antykorupcyjnych nie tylko w instytucjach państwowych, ale także w firmach prywatnych. Za brak takich procedur będą nakładane kary. Jeżeli kontrolerzy stwierdzą, że wprowadzono co prawda procedury antykorupcyjne, ale w sposób, jak to minister określił, fasadowy – kara także zostanie nałożona.

Nacisk na zwalczanie korupcji sugeruje, że to zjawisko wciąż jak groźny robak toczy polskie państwo. Minister jest w końcu specem od łapówek i wie więcej niż zwykły obywatel. To szczególnie niepokojące, bo kiedy PiS, jak nas przekonywano, partia ludzi o kryształowo czystych rękach, doszedł do władzy, wydawało się, że dawanie pod stołem to już tylko mroczna przeszłość. Teraz minister koordynator dowodzi, że problem wciąż istnieje, ręce są brudne i trzeba je parzyć we wrzątku.

Nowym narzędziem do mycia łapówkarzów ma być instytucja tzw. sygnalisty, czyli osoby informującej organy o podejrzeniach występowania zjawisk korupcyjnych i innych nadużyć w macierzystym zakładzie pracy. Taki informator działający, jak stwierdzono, z pobudek obywatelskich, byłby objęty specjalnym statusem ochronnym, niczym świadek koronny. Sygnaliści, według

projektu ustawy, nawet jeśli oskarżą kogoś fałszywie, będą praktycznie bezkarni, zgodnie z zasadą, że przecież każdy ma prawo się pomylić. Jeżeli tę informację połączymy z zapowiedzią, że w przypadku aresztowania prezydenta miasta, burmistrza i wójta ich funkcji nie będą pełnił, jak dotychczas, zastępcy, ale komisarze obligatoryjnie wskazani przez prezesa Rady Ministrów, to zapala się światełko ostrzegawcze. To może być nowe speknarzędzie do przejmowania władzy nad miastami i gminami, a w tym kontekście nie będzie zaskoczeniem, jeżeli przyszłoroczne wybory samorządowe zostaną poprzedzone serią spektakularnych aresztowań po sygnałach sygnalistów.

Warto zwrócić uwagę, że projekt ogłosza minister, który w świetle prawa nie wiadomo, kim jest. Za nadużycie uprawnień, czyli poważne przestępstwo dokonane przez funkcjonariusza publicznego, został skazany na 3 lata więzienia. Wyrok co prawda nieprawomocny, ale nie został obalony w wyniku apelacji, bo skazaniec skorzystał z prezydenckiego ułaskawienia. Niewątpliwie to dwuznaczna sytuacja, że skazany i ułaskawiony minister ogłasza kampanię czystych rąk. A do tego zapowiada, że przy pomocy donosicieli nazwanych sygnalistami posprząta stajnię Augiasza. Czyli Polskę.

KOMENTARZ

Pilnujmy porządku we własnych głowach



Ewa Siedlecka

Trybunał Konstytucyjny Dobrej Zmiany rozstrzygnął dwie fundamentalne kwestie. Wypowiedział się w dwóch wydawałoby się kluczowych sprawach: czy obecna prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Gersdorf została wybrana zgodnie z prawem, a więc prawomocnie (wniosek posłów PiS), i czy najważniejsze postanowienia pisowskich ustaw o TK, w tym automatyczne włączenie dublerów sędziów do orzekania i do udziału w wyborze kandydata na prezesa, są zgodne z konstytucją (wniosek RPO Adama Bodnara). Tylko kogo to obeszło?

Odkryło się przedstawienie, którego nikt nie potraktował w kategoriach prawnych. Dla wszystkich – łącznie z PiS – jest oczywiste, że był to element polityki partii rządzącej. Nikogo już bowiem nie interesuje, jak Trybunał używa prawa. Bo nie jest to już organ sądowy, lecz ustrojowa atrapka.

Dla porządku jednak informacja o rozstrzygnięciach Atrapy Trybunału Konstytucyjnego (ATK). W sprawie powołania prezesa SN uznał on, że wprowadzie Małgorzatę Gersdorf powołano sprzecznie z konstytucją, bo na podstawie wewnętrznego regulaminu SN (wszystkich prezesów tak powoływano), a taka sprawa powinna być uregulowana ustawą. Ale prezydent (wówczas Komorowski) „uzdrowił” ten niekonstytucyjny wybór przez to, że powołał ją na prezesa. Decyzja dość oczywista: koncepcja, że akty prezydenta „uzdrawiają” niekonstytucyjny wybór, przyda się, w razie czego, w sporze o dublerów i wybór sędzi Julii Przyłębskiej na prezesa TK, w trakcie którego połamano pisowskie procedury. A Małgorzatę Gersdorf PiS i tak usunie. Druga sprawa: włączenie do orzekania dublerów i wyrzucenie na bruk prawników z Biura TK – okazało się konstytucyjne zdaniem trzech mianowanych przez PiS sędziów.

Surrealistyczne wydają się poważne rozważania na temat działalności ATK. Sytuacja jest dziwna: oto zaproszeni jesteśmy do stołu, na którym leżą atrapy dań. I co mamy z nimi zrobić? Udawać, że jemy? Mammy problem z oceną, czym jest obecna działalność Trybunału. Bo, według reguł prawa, wyroki wydawane przez nie-sędziów nie są wyrokami. Ale jednak są publikowane w Dzienniku Ustaw, więc można twierdzić, że wywołują skutki prawne. Z drugiej strony zapadają też wyroki z udziałem prawidłowo powołanych sędziów. Np. dwa tygodnie temu w takim składzie zapadł wyrok,

z wniosku RPO, w sprawie niekonstytucyjności administracyjnych eksmisji na bruk. A więc nie można powiedzieć, że Trybunał w całości nie działa zgodnie z prawem. Że to „nie-trybunał”. Ale, z trzeciej strony, składy sądzące wyznacza nie-prezes, czyli Julia Przyłębska. Do spółki z nie-wiceprezesem i nie-sędzią Mariuszem Muszyńskim. Z czwartej strony prawo tych osób do przesuwania uznali „starzy” sędziowie TK. Z piątej strony trzeba jakoś się do tego wszystkiego odnosić, także na poziomie języka. Bo słowo stwarza rzeczywistość.

To, czy sądy będą uznawać postanowienia wydawane w Trybunale przez dublerów, prędzej czy później się okaże. Jeśli decyzje dublerów wejdą do porządku prawnego – zapewne w przyszłości trzeba będzie je uznać. Tak jak uznaliśmy ciągłość III RP i PRL, w imię niepowodowania prawnego chaosu. Ale – co postuluję od półtora roku – z Trybunału w konstytucji trzeba będzie już chyba zrezygnować.

Na razie trzeba opracować słownik „obsługi” TK i ATK. Wymyślone przeze mnie określenie „dubler” się przyjęło. Dla określenia tego, co wychodzi „spod ręki” dublerów, proponuję słowo „orzeczenie”. Jest w miarę neutralne. Jeśli zaś w jakiejś sprawie wypowie się skład z udziałem praworządnie (przez PiS czy nie-PiS) mianowanych sędziów, należy to nazywać „wyrokiem” TK. PiS zafundował nam chaos prawny i aksjologiczny. Pilnujmy więc przynajmniej porządku we własnych głowach.

Szary człowiek i cisza

Chodzi o to, aby ofiara złożona przez Piotra S. nie okazała się próżna.

Piotr S., 54-latek z Niepołomic, podpalił się przed Pałacem Kultury w czwartek 19 października. Z głośnika, jaki miał ze sobą, dobiegała piosenka o wolności, którą „kocham i rozumiem”, a na trotuarze położył list tłumaczący powody, dla których postanowił w taki właśnie sposób zaprotestować. Napisał, że tylko tak może obudzić uśpione społeczeństwo i zmusić je do przeciwstawienia się demolującej państwo władzy. Siebie przedstawił imieniem i określił mianem szarego człowieka. Ugasili go przypadkowi przechodnie. Kiedy piszę te słowa, w warszawskim szpitalu nadal trwa walka o jego życie.

W tamten czwartkowy wieczór w miejscu samopodpalenia zgromadzili się ludzie ze zniczami, ale nie było ich wielu. Tłumaczono, że warszawiacy nie wiedzą o tej tragedii, bo niby skąd mieli się dowiedzieć, skoro media milczały? Poza kilkoma krótkimi newsami nie informowano o zdarzeniu. Może dlatego, że nie znano jeszcze okoliczności i motywów, dla których mężczyzna się podpalił. Jedna ze stacji radiowych podała, że samobójca leczył się psychiatrycznie. To jasna sugestia o niepoczytalności. Dzisiaj już wiemy, że był całkowicie poczytalny. Cierpiał na depresję, przypadłość dość powszechną, ale na swój krok zdecydował się nie pod wpływem nagłego impulsu. Wszystko miało głęboko przemyślane. Świadczy o tym jego list – rodzaj manifestu utrzymanego w spokojnym tonie, napisanego niesłychanie logicznie i świetną polszczyzną.

Zwolennicy PiS mają swój przekaz o tej sprawie, a przeciwnicy swój. Dla tych pierwszych Piotr to ofiara opozycyjnej propagandy, dla drugich bohater, który dał sygnał, aby ruszyć na barykady i siłą odbierać to, co zabrane (i ruszają do walki, ale wyłącznie na Facebooku). Jedni chcą tę sprawę przemilczeć, inni nadać jej mistyczne znaczenie. Obie narracje są fałszywe. Przesłanie brzmiało przecież jasno: nie godząc się na taki sposób rządzenia Polską, trzeba rozmawiać, a nie bić się. Protestować pokojowo i przekonywać, że Polska jest wspólna.

Życie toczy się jak dawniej. Na ulice nie wyległy tłumy poruszonych dramatycznym protestem Piotra. Media o sprawie wciąż informują wstrzemięźliwie, poza portalem OKO.press, gdzie zamieszczono wruszający wywiad z żoną, córką i synem Piotra S. W kilkunastu miastach tworzą się małe grupy osób próbujących docierać z informacją o dramatycznym wydarzeniu do przechodniów. Wręczają im powielony list Piotra i proszą o przeczytanie. W Warszawie nocami ktoś krąży po ulicach i sprayem wypisuje cytaty z tego listu. Natychmiast pojawiają się specjalne ekipy zmaszujące te napisy. Przed Pałacem Kultury jedni zostawiają znicze, inni je szybko usuwają. Trwa bitwa o pamięć – jedni chcą ją utrwalić, inni wymazać.

W gruncie rzeczy idzie o to, aby ofiara złożona przez Piotra nie okazała się próżna. Napisał: „Ja zwykły szary człowiek, taki jak wy, wzywam was wszystkich, nie czekajcie dłużej”. Pan Piotr, lat 54, z wykształcenia chemik, człowiek, który wyraził swój protest.

PIOTR PYTLAKOWSKI



Budowanie ruin

PiS chwali swoje dokonania, ale koszt społeczny w postaci skłócenia ludzi, całych branż i grup społecznych już jest bardzo wysoki, a będzie jeszcze wyższy. Raz stracone zaufanie trudno odbudować.

Polska została zamieniona w pole rozbiórki. Trwa rewolucja, ale wysiłek PiS poszedł przede wszystkim w gruzowanie tego, co zastali, gdy doszli do władzy. Nowych inicjatyw, które zostawią trwałe ślady po rządzie PiS, jest niewiele. Na półmetku nadal słyszemy głównie o tym, co cofnięto, odwrócono, obsadzono swoimi ludźmi.

Tymczasem opozycja przygotowuje już plan, który można określić jako „Krajobraz po bitwie”. Trwa dyskusja w PO i Nowoczesnej, jak po (zakładanej, spodziewanej) przegranej PiS przywrócić demokratyczny porządek i instytucje. PO proponuje jednym Aktem Odnowy Demokracji, czyli dużą ustawą, przywrócenie niezależności TK, sądów, prokuratury i mediów. Nie będzie to jednak łatwe, ponieważ nie wystarczy powrót do tego, co było. Wiele instytucji i rozwiązań trzeba będzie określić od nowa, tak by były sprawniejsze, bardziej odporne na polityczne wpływy i bardziej transparentne. Najtrudniej jednak będzie zdobyć zaufanie społeczne do państwa i grup pracujących w tak zwanych zawodach zaufania publicznego. Niszczenie porządku demokratycznego odbywa się bowiem jednocześnie na kilku poziomach. Szkielet prawny i swobody obywatelskie to jedno, a atakowanie tzw. elit, czyli osób myślących inaczej, to drugie. Dodajmy, że do elit może być zaliczony każdy, kogo wskażą przywódcy PiS (choćby młodzi lekarze), i wtedy, niby z automatu politycznego, otrzymuje piętno podejrzanego, gorszego Polaka.

Rząd, chwając się spełnieniem obietnic wyborczych, podkreśla, że dzięki PiS wzrosło zaufanie społeczne. „Przywracając wiek emerytalny, przywracamy zaufanie do państwa i polityki. Nie tylko do polityków PiS” – oświadczyła minister Rafalska. Nie sądzę, żeby to nastąpiło, ponieważ PiS podejmuje wiele działań podważających wzajemne zaufanie ludzi do siebie i do państwa. Teraz część wyborców cieszy się z obniżenia wieku emerytalnego, ale co stanie się, gdy otrzymywane emerytury będą bardzo niskie, a ciężaru wielu wyborczych obietnic budżet nie wytrzyma? Czy ludzie nie będą uważali, że to państwo znowu nawaliło?

Wzajemne zaufanie do siebie nawzajem i do instytucji państwa to podstawa rozwijających się gospodarek i demokracji, ale też w istocie warunek poprawy jakości życia. Dobrze jest leczyć się u doktora, któremu ufamy, czy rozstrzygać spory przed sądami, którym wierzymy. W Polsce wzajemne zaufanie było zawsze bardzo niskie, a obecnie będzie jeszcze gorzej, bo dobre oceny partii nie oznaczają wzrostu zaufania do państwa. Wręcz przeciwnie.

W Polsce od dwu lat trwa nieustanna kampania wyborcza, w czasie której Jarosław Kaczyński wyzywa i obraża oponentów. Wtórkuje mu Beata Szydło i inni działacze PiS. Ta retoryka pogardy podtrzymuje rewolucyjny zapał i lojalność własnego elektoratu, ale podsyca konflikty społeczne, także w pracy, samorządzie, szkole. Retoryka pogardy nie jest bowiem skierowana tylko do opozycji czy KOD. Prowadzone kampanie obliczone są na pogorszenie, często i tak nie najlepszych, ocen całych grup zawodowych: sędziów, adwokatów, lekarzy, dziennikarzy, nauczycieli. Nieufność się rozkręca.

Walka z korupcją, którą PiS miał na sztandarach, też ma dwa końce. Podoba się niewątpliwie zatykanie sita vatowskiego, nowe komisje rozliczające poprzedników czy komisje śledcze i działania porządkujące reprivatyzację. Ale towarzyszą temu pojawiające się co chwila nowe projekty dające rządzącym ogromną władzę nad organizacjami pozarządowymi czy przedsiębiorcami. Szef CBA, zgodnie z jednym z projektów, będzie miał prawo wnioskować o nałożenie na firmy kary już na etapie prokuratorskich zarzutów, a więc kiedy komuś nie udowodniono jeszcze winy! Przez to będzie jeszcze łatwiej szantażować lub zniszczyć przedsiębiorcę i jego firmę.

Innym przykładem to kolejna propozycja ministra Kamińskiego dotycząca, jak to określili, jawności w życiu publicznym. Rząd nie chce udostępniać organizacjom pozarządowym i opozycji informacji publicznych, o które proszą, ale aby pokazać swoją otwartość, przygotował założenia do nowej ustawy. Jest tam zawarta próba określenia pozycji „sygnalistów”, osób, które informują o nieprawidłowościach w swoim miejscu pracy. Sygnaliści doceniani są w wielu krajach, ponieważ ułatwiają walkę z korupcją, i są chronieni przed zwolnieniem z pracy. W Polsce propozycja ta wywołała falę obaw. „Za 20 lat będą grać teczki sygnalistów, jak teraz TW” – pisali internauci. PiS chce wzmocnić donosicielstwo, a donosiciele, może nawet agentura, będą sowicie nagradzani. Nieufność do obecnej klasy politycznej, i ludzi wzajemnie do siebie, utrudni wprowadzenie choćby tej propozycji.

W ciągu najbliższych lat czekają nas cztery kampanie wyborcze towarzyszące wyborom do samorządów, Sejmu, Parlamentu Europejskiego i na urząd prezydenta. Nakręcająca się retoryka nienawiści, konfliktu, oskarżeń zejdzie na niskie szczeble samorządu i będzie dotyczyć osób bezpośrednio ze sobą współpracujących na co dzień. Polaryzacja się pogłębi, a zaufanie nie tylko do polityków spadnie. Do wyzwań stojących przed opozycją po odzyskaniu władzy dołączy odbudowanie elementarnego wzajemnego zaufania. Zbiorowa psychoterapia.

Jan Koza



© JAN KOZA



© REUTERS FORUM

Barcelończycy świętują. Poniżej: szef autonomii Carles Puigdemont (z prawej) po ogłoszeniu deklaracji niepodległości przez kataloński parlament, 27 października.

Zderzenie czołowe

Kryzys w Katalonii jest stress testem nie tylko hiszpańskiej demokracji, lecz także wspólnoty europejskiej.

Barcelona po ogłoszeniu niepodległości przypomina nieco polski karnawał Solidarności. Jest radość, leje się pienista kawa, są pieśni i tańce narodowe na placach i ulicach, ale nie wszyscy wierzą, że republika ma przyszłość. W Hiszpanii Katalończyków nazywa się czasem *los Polacos*, Polakami. Nie jest to komplement, tylko negatywny stereotyp: Katalończycy postrzegani są jako obcy, niemówiący po naszemu, wicherzyciele i buntownicy. Stereotyp sygnalizuje, że mamy do czynienia z konfliktem nie tylko politycznym, ale też kulturowym.

Takich konfliktów nie da się rozwiązać siłą, można je tylko przytłumić. A zepchnięte do podziemia, mogą się zaostrzyć. Rząd centralny postanowił rozwiązać kryzys kataloński, uderzając we władze i instytucje autonomii. Zakłada, że wymiana liderów wystarczy, by przywrócić konstytucyjny status quo. Tymczasem zdymisjonowany szef autonomii Carles Puigdemont dymisji nie uznał i wezwał do pokojowego oporu. Jeśli trafi do więzienia za wolną republikę Katalonii, wyrośnie na bohatera ruchu niepodległościowego.

Na deklarację niepodległości przyjętą 27 października przez kataloński parlament Madryt odpowiedział uruchomieniem art. 155 hiszpańskiej konstytucji, czyli zawieszeniem autonomii regionu, i zdymisjonowaniem Puigdemonta, jego ministrów oraz komendanta regionalnej policji. A także rozwiązaniem parlamentu autonomii i obietnicą, że nowe wybory w Katalonii odbędą się 21 grudnia. Działanie art. 155 musi być ograniczone czasowo, więc



© EPA/PAP

po okresie przejściowym, w którym regionem będzie zarządzał bezpośrednio Madryt w osobie wicepremier Sorai Sáenz de Santamaría, kompetencje teoretycznie mają powrócić do Barcelony.

Madryt chce przejmować rządzenie Katalonią praworządnie, spokojnie i stopniowo. Zapewnia, że 300 tys. lokalnych urzędników może spać spokojnie. Ale liderzy i działacze niepodległościowi muszą się liczyć z procesami i zarzutami działań antypaństwowych, a za to grozi nawet do 30 lat więzienia. Środki podjęte przez Madryt są surowe, a mimo to część Hiszpanów uznała je za zbyt łagodne. W stolicy demonstrowano, domagając się więzienia dla Puigdemonta i jego sprzymierzeńców. W internecie hiszpańscy skrajni prawicowcy pod filmy z katalońskich marszów za niepodległością podkładają marszowe pieśni SS, zrównując ich uczestników

z nazistami. Do flagi katalońskiej dorabiają swastykę. Katalończycy odplacają pięknym za nadobne, opisując wszystkich Hiszpanów jako zwolenników dyktatora gen. Franco.

To z tamtej epoki pochodzi klasyczna antytotalitarna lektura pokoleń europejskiej lewicy i demokratów: „W hołdzie Katalonii” George’a Orwell’a. I teraz tamten czas, gdy Katalonia była bastionem krwawo stłumionego oporu przeciwko gen. Franco, wraca w dyskusjach o przyszłości.

Plan premiera Hiszpanii Mariano Rajoya zakłada zapewne, że Madryt jest w stanie przeprowadzić szybko i sprawnie operację normalizacji. Ma przecież poparcie większości regionów i społeczeństwa Hiszpanii, a także domniemanej „milczącej większości” mieszkańców samej Katalonii. Tych, którzy chcą unii, a nie niepodległości. Dlatego Madryt rozwinął przeciwko katalońskiej narracji o prawie do niepodległości narrację o praworządności: nie likwidujemy wam autonomii, tylko przywracamy konstytucyjne prawa i stajemy w obronie waszych praw obywatelskich zagrożonych przez separatystów.

Tylko że koncepcja Rajoya może nie wypalić. Niepodległościowcy słyszą w niej tony orwellowskie (czarne jest białe) i skrzykują się do obrony młodziutkiej republiki. Nikt nie wie, jak się potoczy normalizacja. Ani jak będzie wdrażany 155 artykuł hiszpańskiej konstytucji. Czy na przykład publiczne i prywatne media katalońskie dostaną madryckich komisarzy na czas normalizacji i grudniowych wyborów do parlamentu Katalonii?

Atmosfera jest gęsta, społeczeństwo podzielone, perspektywy niepewne. Bo jeśli wybory mają być już w grudniu, to czy Madryt pozwoli w nich startować partiom niepodległościowym? A jeśli pozwoli, to przecież to one wygrają i trzeba będzie zaczynać normalizację od nowa. Farsa.

Sprawa katalońska, wbrew zakłębom i pobożnym życzeniom polityków w Hiszpanii i w Europie, w tym w Polsce, nie jest tylko wewnętrzną sprawą między Madrytem a Barceloną. Ogłoszenie niepodległości jest faktem symbolicznym o dużym ładunku emocji politycznej. Dla ruchu niepodległościowego Katalonia przekroczyła punkt, od którego nie ma już odwrotu.

Mówimy o odrębnym narodzie z wielowiekową historią, tradycją suwerenności sięgającą średniowiecza, bogatą kulturą, związanym wieloma nićmi z kulturą i historią Hiszpanii i Francji. A zarazem o motorze napędzającym gospodarkę hiszpańską, o kraju odwiedzanym corocznie przez miliony turystów z całego świata, ojczyźnie Dalego i Gaudiego, wreszcie o kraju, któremu miliony kibiców zazdroszczą piłkarskiego klubu FC Barcelona.

W dniu proklamacji niepodległości w regionalnym parlamencie katalońska flaga narodowa, zwaną *senyera*, stała się flagą państwową, a z instytucji samorządowych zaczęto usuwać flagi hiszpańskie. Dla niepodległościowców Katalonia przestała być poddana jurysdykcji hiszpańskiej. W tym sensie kryzys kataloński polega nie tylko na zderzeniu dwóch nacjonalizmów, dwóch narracji historyczno-kulturowych, lecz także dwóch legalizmów, dwóch systemów prawnych.

Po ogłoszeniu niepodległości w Barcelonie pojawiły się też flagi ONZ: skoro nie UE, to może Narody Zjednoczone włączą się do mediacji. Ale katalońscy niepodległościowcy na taki scenariusz dzisiaj nie mogą liczyć. Na „nie” jednym chórem odezwały się USA, Francja, Niemcy, W. Brytania, Donald Tusk i Jean-Claude Juncker. Ci dwaj ostatni mają dość kolejnych tarć i pęknięć w Unii. Nie ma mowy o uznaniu niepodległej Katalonii i jej członkostwie w UE. Jedyne, na co Brukselę było stać, to wezwanie do dialogu (ignorowane przez Madryt).

Za to deklarację niepodległości serdecznie witali m.in.: przywódca szkockich narodowców Nicola Sturgeon, liderka nacjonalistów walijskich Leanne Wood, liderzy socjaldemokracji słoweńskiej, irlandzka partia narodowa Sinn Féin, deputowany do parlamentu fińskiego, który zapowiedział, że zgłosi formalny wniosek o uznanie niepodległości Katalonii. Gratulowali sympatycy

europejskich ruchów separatystycznych, a także ikona brexitu Nigel Farage, były lider UKIP, sympatyk Rosji putinowskiej.

Ten miks nie pomoże dziś sprawie katalońskiej. W bardziej stabilnej epoce sprawa może wyglądać lepiej. Przypomnijmy, że demokratyczna Europa nie protestowała przeciwko „aksamitnemu rozwodowi” Czechów i Słowaków. A przecież Słowacy nie byli okupowani czy terroryzowani przez czeską większość, tylko zapragnęli żyć we własnym państwie. Ale też Czesi to uszanowali. Tak czy inaczej, negatywna reakcja Europy prawdopodobnie osłabnie w katalońskim ruchu niepodległościowym poczucie osamotnienia i niezrozumienia. Przedstawia się go jako fanaberię nacjonalistów i produkt „egoizmu bogatych mniejszości”. Wytacza się zarzuty ideologiczne. Prawica przedstawia ruch jako „lewacki” i „neomarksistowski”. W rzeczywistości demokratyczne wybory do władz autonomii wygrały ugrupowania o różnych profilach politycznych, w tym katalońska lewica republikańska, do której należał rozstrzelany w 1940 r. prezydent Companys. Łączyło je hasło referendum niepodległościowego.

Trudno więc mówić o przechwyceniu polityki katalońskiej przez spiskowców i buntowników. Taki był po prostu werdykt wyborców w 2015 r. To samo dotyczy referendum przeprowadzonego 1 października. Plebiscyt odbywał się w sytuacji napiętej. Do Katalonii przybyły silne oddziały policji państwowej, żegnane w Madrycie wiwatami tłumów, jakby wybierały się one na wojnę o ojczyznę. Podczas głosowania doszło do aktów policyjnej przemocy. Oficjalnie ogłoszone wyniki referendum były pomyślne dla niepodległościowców: *si!* odpowiedziało 90 proc. Jednak frekwencja nie sięgnęła połowy uprawnionych.

Dla jednych to dowód, że niepodległościowcy nie mieli i nie mają mandatu do ogłoszenia republiki. Inni zwracają uwagę, że nie wiadomo, jaka byłaby frekwencja, gdyby rząd centralny nie wywarł presji policyjnej na elektorat. Mogłaby być wyższa, bo przecież w sondażach 80 proc. mieszkańców Katalonii było za tym, by kraj mógł się wypowiedzieć w sprawie niepodległości. Tak jak mogli to legalnie uczynić Szkoci w 2014 r. (większość wybrała zresztą opcję *no!*).

Podczas debaty nad deklaracją niepodległości katalońscy deputowani opozycyjni oskarżali rządzącą niepodległościową koalicję lewicowo-centrową o pucz, zamach na demokrację, zapędy totalitarne i rujnowanie katalońskiej gospodarki (ponad 800 firm zdecydowało się już przenieść swoje siedziby poza niestabilną Katalonię). Ostatecznie opozycja wyszła z sali obrad. Pozostali deputowani głosowali. Zwolennicy ogłoszenia niepodległości zdobyli większość 70:10, przy dwóch głosach wstrzymujących się (ze 135).

Tymczasem do obecnego kryzysu być może by nie doszło, gdyby nie wydarzenia z połowy pierwszej dekady XXI w. To tu można szukać korzeni obecnego kryzysu, najpoważniejszego wyzwania stojącego przed stosunkowo młodą demokracją hiszpańską. Poszło o statut rozszerzonej autonomii katalońskiej. Statut został przyjęty w referendum w 2006 r., gdy premierem Hiszpanii był socjalista José Zapatero.

Cztery lata później ówczesny lider opozycji, a dziś premier, konserwatysta Mariano Rajoy, wystąpił z wnioskiem do sądu konstytucyjnego o zbadanie, czy statut jest zgodny z konstytucją. Sąd orzekł, że statut wymaga znacznych ograniczających korekt. Wtedy po raz pierwszy na ulice Barcelony i innych miast wyległy w proteście setki tysięcy Katalończyków pod hasłem: *Som una nació* – jesteście narodem! Na tym gruncie rosło poparcie dla referendum i niepodległości.

Nie wszyscy chcieli wyjścia z państwa hiszpańskiego, ale znaczna część domagała się prawa do wyrażenia zdania na ten temat. Tak jak pozwolono to uczynić Szkotom, mieszkańcom Quebecu, a ostatnio Lombardii. Zwłaszcza że przekaz przeciwników referendum i niepodległości jest taki, iż nie ma ona poparcia większości Katalończyków. Premier Rajoy będzie teraz musiał zapanować nad najpoważniejszym kryzysem młodej demokracji hiszpańskiej.

ADAM SZOSTKIEWICZ



© GETTY IMAGES, FORUM, PAP/STUDIO POLITYKI

Rekonstruktorzy

WOJCIECH SZACKI

Beata Szydło zapewnia, że nie jest zmęczona, a wypalona to może czuć się Angela Merkel. Ale ci, którzy zagrażają pozycji premier, też nie wyglądają na zmęczonych. Rekonstrukcja to tylko fragment rozgrywek wewnątrz rządzącej ekipy.

W

wywiadzie dla „Polski the Times” Beata Szydło oznajmiła: „Budzę się rano i wciąż mam nowe pomysły i zapał. I czuję się dobrze w tym miejscu”. Na wszelki wypadek, by nie zabrzmieć zbyt pewnie, dodała: „Oczywiście to, kto stoi na czele rządu, to zawsze jest wypadkowa różnych okoliczności i wszystko może się zmienić, ale dziś nie widzę w Polsce sytuacji, która wymagałaby jakichś gwałtownych zmian w rządzie”.

Na półmetku kadencji PiS popiera ponad 40 proc. Polaków, premier i rząd mają rekordowe notowania, wielu ludziom – to nie ironia – dzięki programom socjalnym żyje się lepiej, a Szydło jest druga za prezydentem w rankingu zaufania do polityków.

Rekonstrukcja rządu, kilkakrotnie już zapowiadana i przekładana, miała być zabiegiem kosmetycznym, żadną poważną interwencją chirurgiczną. Bo kto by chciał zmieniać tak popularną ekipę?

A jednak lęk pani premier nie bierze się z niczego. Pod koniec października ukazał się tygodnik „Sieci Prawdy” (nowe wcielenie „wSieci”), a w nim kilka notek Roberta Mazurka i Igora Zalewskiego o tym, że Szydło straci stanowisko, a zastąpi ją Jarosław Kaczyński, zirytowany brakiem decyzyjności szefowej rządu i tym, że każdy spór ministrów wymaga interwencji Nowogrodzkiej.

Spekulacje o tym, że prezes PiS wejdzie do rządu, przewijały się już wcześniej. Ale po raz pierwszy ktoś – i to w propisowskim tygodniku – napisał to w tonie oznajmującym, na twardo. News został podchwycony przez wszystkie media i zaczął żyć własnym życiem. Wicemarszałek Senatu i doradca Kaczyńskiego Adam Bielan w Radiu Zet zasugerował, że do rekonstrukcji dojdzie w grudniu. Dzień później z samego rana premier poszła do Bogdana Rymanowskiego i w zniechęconym na co dzień przez PiS TVN24 kontratakowała. Zmiany w rządzie, owszem, będą, ale to ona o nich poinformuje „za kilkanaście dni”.

To miała być demonstracja siły. Szydło chciała pokazać, że to ona – wspólnie z Kaczyńskim – będzie decydowała o losie ministrów, a przede wszystkim, że zmiana ominie najważniejszy fotel w rządzie. – *Karp zabrał się za organizację wieczerzy wigilijnej* – zgryźliwie skomentował polityk z obozu rządzącego.

Kto walczy z Szydło, kto jej broni

Bitwa o stanowisko premiera najwyraźniej wchodzi w decydującą fazę. Zidentyfikujmy walczące strony. Za Szydło murem stanęły bliskie Zbigniewowi Ziobrze środowisko medialne braci Karnowskich. – „Ktoś ma duży apetyt na nową potrawę partyjną, ugotowaną na politycznym trupie Beaty Szydło” – obruszył się Michał Karnowski. Na portalu wPolityce.pl ukazało się kilka tekstów napisanych z pozycji propisowskich, ale przestrzegających zarazem Kaczyńskiego przed braniem teki premiera. Byłoby to nieroztropne, bo mogłoby przynieść spadki w sondażach i w konsekwencji odsunąć prawicę – tę prawdziwą, nie prezydencką – od władzy. Wsłuchajmy się w tę argumentację: „Cenna jest lekcja związana z wetami do ustaw reformujących sądy. Pokazały one, jak silny jest obóz dążący do kolejnego przemodelowania sceny. Obóz postrzegający PiS wyłącznie jako rodzaj tarana rozbijającego III RP, ale już nie formację, która ma prawo długo rządzić. Przekierowanie ostrza krytyki z III RP w kierunku »radykałów pisowskich« sporo mówi o możliwym kształcie wymarzonej konstelacji. Byłaby to »Rzeczpospolita III i pół«, trochę zmieniona z wierzchu, ale już nie w środku. Byłoby dużo pomników Wykłętych, ale sądownictwo to samo, wciąż wywodzące się środowiskowo z 1944 r.” – napisał Jacek Karnowski. Pokrzepieniu serc zwolenników Szydło służyła też sonda internetowa. 10 800 głosów za nieznaczną rekonstrukcją rządu, 9830 – przeciw, a tylko 806 za zmianą premiera (wyniki z niedzieli). Na wszelki wypadek zabrakło pytania „Czy premierem powinien zostać Jarosław Kaczyński?”.

Skąd takie zaangażowanie w obronę Szydło? Z dwóch źródeł słychać podobną hipotezę. – *Bracia Karnowscy postawili na Ziobrę, a Ziobro korzysta z sojuszu z Szydło. Wejście Kaczyńskiego mogłoby zakończyć tę sielankę* – twierdzi rozmówca POLITYKI z obozu władzy. A komu zależy na wymianie premiera? Publiczne wypowiedzi Jarosława Gowina pozostawiają mało miejsca na wątpliwości. „O ile pojedyncze zmiany w rządzie mogą być efektem samodzielnych decyzji premiera, w tym przypadku pani premier Beaty Szydło, o tyle głębsza rekonstrukcja wymaga konsultacji z naszym zapleczem parlamentarnym” – powiedział dziennikarzom w Sejmie. I dodał: „Sądząc z jej słów wypowiedzianych dwa dni temu, pani premier ma jasność, z kim chce kontynuować współpracę, a z kim nie chce. Druga faza rekonstrukcji to konsultacje z partią,

która desygnowała Beatę Szydło, a więc z PiS. I trzecia faza to konsultacje na szczeblu koalicyjnym”.

Wicepremier całkiem otwarcie podkreśla więc przedmiotową, a nie podmiotową rolę Szydło w czasie rekonstrukcji. Z informacji POLITYKI wynika, że Polska Razem – partia Gowina – na niedawnym spotkaniu z Kaczyńskim namawiała prezesa PiS, by został premierem. Jednym z argumentów był sondaż CBOS, w którym Kaczyński miał najwyższe od lat zaufanie społeczne. Z rekonstrukcji pani premier ucieszyłby się zapewne także Mateusz Morawiecki, od dwóch już lat rywalizujący z Szydło o wpływ w rządzie i polityce gospodarczej.

Charakterystyczny był też głos szefa gabinetu prezydenckiego Krzysztofa Szczerskiego, typowanego na szefa MSZ. „Do rządu Beaty Szydło się nie wybieram” – rzucił w RMF FM; czytelna wskazówka, że w rządzie Kaczyńskiego czułby się lepiej.

Ale partia Gowina i Bielana oraz Szczerski to za mało, by doprowadzić do zmiany premiera. Szydło ma jednak przeciwników także w samym PiS. – *Kilku najbliższych współpracowników prezesa już w 2015 r. próbowało utracić kandydaturę Szydło na premiera. Namawiali Kaczyńskiego, by to on uszedł do rządu, bez względu na obietnice z kampanii. Teraz powtarzają mu, że premier się nie sprawdza, że wszystko idzie za wolno* – twierdzi rozmówca POLITYKI.

Te słowa padają na podatny grunt. Kaczyński kilka razy publicznie zwracał uwagę na powolność działań rządu, ponaglał Szydło, podkreślał, że trzeba podciągnąć tabory. Coraz bardziej irytuje go sytuacja, w której szef rządu nie ma autorytetu wśród swoich podwładnych. Poszerza się szczelina między konstytucją, w której rządzi premier, a rzeczywistością, w której dominuje prezes, choć uczciwość każe dodać, że Kaczyński sam ten układ stworzył.

Rozmówcy POLITYKI – tekst powstaje pod koniec października – uważają, że decyzji „naczelnika” jeszcze nie ma. Argumenty przeciw wchodzeniu do rządu też są ważne. „Wymiana premiera byłaby szokiem dla wyborców” – powiedział wyborczej.pl poseł PiS Leonard Krasulski, który rzadko udziela się w mediach, ale Kaczyńskiego zna od kampanii do Senatu w 1989 r. Ale nie chodzi tylko o kwestie sondażowe i dymisję bardzo popularnej premier; Kaczyński nie lubił obowiązków szefa rządu (obowiązki dyplomatyczne, biurokratyczne, wizerunkowe) już w 2006 r., a dziś jest dekadę starszy.

Niewykluczone, że echem tych rozterek był fragment wywiadu dla „Gazety Polskiej”, w którym szef PiS zaoferował Andrzejowi Dudzie większy wpływ na politykę zagraniczną, w tym reprezentowanie kraju na szczytach unijnych, co uchroniłoby hipotetycznego premiera Kaczyńskiego przed przykrościami związanymi z widywaniami Donalda Tuska.

– *Decyzji nie ma, więc pisać można wszystko. Ale dziś nic nie wiadomo, poza tym, że kilku sprawnym medialnie osobom zależy na dymisji pani premier* – mówi ważny polityk PiS.

Kto spadnie z karuzeli

Niezależnie od losów Szydło przykre zmiany w CV kilku ministrów wydają się nieuniknione. U progu rekonstrukcji najniżej stoją akcje Andrzeja Adamczyka, Witolda Waszczykowskiego i Anny Streżyńskiej. W PiS panuje przekonanie, że minister infrastruktury nie radzi sobie z resortem, przede wszystkim z sytuacją w PKP. Sam Kaczyński wytknął mu na kongresie w Przysusze ślimacze tempo wdrażania programu Mieszkanie+. Adamczyka raczej nie uchroni tym razem polityczna przyjaźń z Szydło. Nie jest natomiast jasne, kto go zastąpi. „Fakt” spekulował, że będzie to prezes PKP Krzysztof Mamiński. Zdaniem naszego rozmówcy z PiS bardziej prawdopodobne są jednak kandydatury poselskie: byłego wicemarszałka podkarpackiego i szefa komisji infrastruktury Bogdana Rzończy lub obecnego zastępcy Adamczyka Kazimierza Smolińskiego. ►